

CÓRKA ŻEBRACZKI.

Romans kryminalny.

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ J. R.

I.

Szlachetna zwierzyzna.

— Strzelajże pan raz, panie hrabio! Nie widzi pan, jak tam się trawa porusza? Strzelaj pan w środek — tam zwierz jest!

Stali obydwa na skraju lasu, młody hrabia w eleganckim stroju myśliwskim i jego stary leśniczy. Księżyc bladym światłem oświecał cichą, oparami wieczoru przysłoniętą okolicę.

Hrabia wyciągnął strzelbę i zaczął celować. Oczy mu płuły. Jednak ociągał się jeszcze.

— Sądzi pan, panie leśniczy, że tam rzeczywiście..

— Ależ z całą pewnością! — Pal pan — bo inaczej...

W tej sekundzie rozległ się huk strzału.

Jednak równocześnie uszu strzelców doszedł rozdierający serce krzyk, krzyk śmiertelny, jaki może wydać tylko szalony ból z piersi ludzkiej.

Hrabiemu wypadła z rąk strzelba, a on sam zatoczył się jak pijany.

— Panie leśniczy — na Boga — pan mnie do mord...

Nie mógł dokończyć strasznego wyrazu; drżał na całym ciele i ledwie, że się mógł utrzymać na nogach, chociaż był oparty o olbrzymich rozmiarów buk.

Stary leśniczy, z początku również uderzony tym krzykiem, ocknął się i zrobił ręką ruch lekceważący.

— Co tam — rzekł. — Nieszczęście chodzi po ludziach. Chodź pan, panie hrabio, zobaczmy, co się stało i ocenimy szkodę.

Poszli obydwa na miejsce nieszczęścia i zobaczyli postać kobiecą, rozciągniętą na trawie.

Leśniczy pochylił się nad nią.

Hrabia nie miał odwagi spojrzeć na nią. Stał i chwycił się rękoma za głowę. Na czoło wystąpił mu perlisty pot.

— Mój pierwszy strzał powalił — szlachetną zwierzyznę — wyszeptał drżącymi, jak we febrze, wargami. — Co za straszny los!

Leśniczy podniósł się.

— Żyje jeszcze? — zapytał nagle hrabia.

— Tak jest. Jeszcze oddycha.

— Jak pan sądzi, czy nieszczęśliwa jest niebezpiecznie zraniona?

— Obawiam się, że — nawet bardzo...

— Biedaczka — wyszeptał hrabia.

— Tak jest, zdaje się, że jest biedną; ubranie jej, to same łachmany. Żebraczka jakaś pewnie.

— Ale w każdym razie cenne życie ludzkie, droższe i więcej warte, jak wszystkie skarby świata.

Leśniczy mruczał coś pod nosem.

Podeszli wreszcie ku leżącej i podnieśli ją, aby ją zanieść do domu leśniczego. W milczeniu szli ze swoją smutną zdobyczą przez las, zmierzając do niedaleko leżącej leśniczówki.

Kobieta, którą nieśli, była, sądząc po jej wysmukłej i kształtnej budowie oraz po znacznym ciężarze, jeszcze osobą młodą. Twarzy jej nie można było zobaczyć, bo była osłonięta czarną chustką.

Doszli wreszcie na leśniczówkę.

— Jezus, Marya — Karolu, co ty niesiesz? co się stało? — zawołała przerażona żona leśniczego, która im otworzyła drzwi. — I pan hrabia także tutaj? O, mój Boże, mój Boże...

— Cicho, Anno — mruknął leśniczy rozkazująco. — Poświęć nam i zaprowadź nas do tego pokoju, który prowadzi na ogród. O to, co się stało, może cię głowa nie boleć.

W kilka minut później ułożono nieszczęśliwą na miękkim posłaniu i obydwa mężczyźni cofnęli się, pozostawiając tymczasową pieczę nad zranioną kobietom, jakie były na leśniczówce.

Leśniczy Tareau wyciągnął, jak mógł najprędzej, wóz z wozowni, zaprzągnął i pojechał do wsi, aby sprowadzić lekarza, który, jako pensjonowany lekarz wojskowy, słynął w całej okolicy i cieszył się zasłużonym zresztą uznaniem.

Hrabia pozostał sam jeden w izbie, przytykając do alkierza, w którym znajdowała się chora. Postanowił on nie opuszczać leśniczówki, dopóki się nie dowie czegoś pewnego o losie nieszczęśliwej swej myśliwskiej zdobyczy.

Zdenerwowany w najwyższym stopniu chodził cichym krokiem po izbie, a z piersi jego wyrwało się co chwila dręczące westchnienie. Myśl, że w tej godzinie, w tej samej godzinie, kona może kobieta, którą on zabił, sprawiała mu nieopisaną mękę. Jego szlachetne serce rwało się z żalu i niepewności.

Wtem drzwi cicho skrzypnęły i do izby weszła pani Anna. Hrabia chwycił jej rękę.

— No cóż? Wyjdzie z tego?

— Bóg to wie — odpowiedziała zapytana, wzruszając ramionami. — Dla niej byłoby w każdym razie lepiej, gdyby się już więcej nie obudziła, lecz spokojnie, we śnie, przeniosła się na łono wieczności.

— Ależ, na Boga, dlaczego?

— Miły Boże! Jak się zdaje, jestto nędzarka, biedna żebraczka. Ale musiała ona mieć i swoje lepsze dni, bo jej łachmany — to wszystko sam jedwab i atlas, a koszule, aczkolwiek dawno nie prane i brudne, są z cieniutkiej, delikatnej materii. A kiedyś ją wymyły i przyodziali w nową bieliznę, leży — piękna jak anioł, a delikatna — jak księżniczka.

— A więc jest młodą i piękną?

— Jak już powiedziałam, piękna jak anioł. I mogę twierdzić, że nie widziałam jeszcze w kobiecie tyle uroku i wdzięku, co u niej.

— I ja ją postrzeliłem! — jęknął hrabia. — Och ten strzał, ten nieszczęsny strzał!...

— Zaraz mi to przyszło na myśl, że musi być postrzelona. W prawej piersi, niedaleko ramienia, ma ranę...

— Nieszczęśliwa! Na skraju lasu, pod gołym niebem, chciała spocząć na noc, a ja...

— Zdaje się, że dalej iść nie mogła — przerwała mu leśniczyna. — Wielki Boże! W takim stanie i nie mieć ani dachu nad głową, ani żadnego człowieka przy sobie!...

Otarła łzę.

Hrabia cofnął się, usłyszawszy to i jak oszołomiony, upadł na stół, a ukrywając twarz w dłoniach, łkał:

— Boże! Boże! A więc dwa życia ludzkie! Tego nie zniosę.

Powstawszy nagle, spostrzegł, że był sam w pokoju.

Zdawało mu się, że jakaś nieznana, tajemnicza siła pcha go przemocą do nieszczęśliwej.

Otworzył cicho drzwi i wszedł do alkierza. Ponieważ nie było w nim nikogo, prócz starej nieznajomej, podszedł do łóża, na którym spoczywała, twarzą zwróconą do ściany.

Wziął lampkę ze stołu i oświecił nią twarz chorej. Ale kiedy oczom jego ukazały się anielsko miłe jej rysy, trupia bledność pokryła mu lice.

— Ona — to ona! Boże, mój Boże!

Szybko postawił lampę na stole i padł na kolana przy łóżku.

— Lauro, moja Lauro! — wołał, jak opętany, okrywając pocałunkami jej białą, delikatną rękę.

Chora otworzyła po chwili oczy i zwróciła je na klęczącego.

— Mój Jan — wyszeptęły jej wargi z jakimś nieokreślonym uczuciem miłości.

Uśmiech, jakby promień słońca, rozjaśnił jej lica. Hrabia, klęcząc ciągle przy niej, patrzył w nią bez słowa, pogrążony w cichym rozpamiętywaniu. Ona uśmiechała się, nadzwyczaj szczęśliwa w tym swoim nieszczęściu, w tym bolu — porywającą piękną.

— Przez sen słyszałam, że to ty, Janie, mnie postrzeliłeś. O, dlaczego nie trafiłeś lepiej, w samo serce, w to biedne, oszukane serce, w którym dzisiaj zimno i pusto i które dopiero wtedy będzie spokojne, kiedy bić przestanie!

Ciężka łza stoczyła się jej po policzkach.

Z piersi hrabiego wyrwało się suche, przytłumione łkanie.

— Nie tak, moja Lauro, nie tak powinnaś myśleć — przemówił z odcieniem żalu w głosie — Od czasu, kiedy mnie potajemnie opuściłaś, nie zażnałem ani chwili szczęścia. Nie da się wypowiedzieć, ile mojemu biednemu sercu przez ten czas cierpieć. Byłem najnieszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Ta chwila, kiedy cię na nowo odyskałem, ta chwila — to pierwszy promień światła, który od tego czasu wpadł w posępny mrok mojego smutku.

Trzymał ciągle jej małą rękę, okrywając ją pocałunkami, a gorące łzy, jakie na nią spadały, świadczyły, że mówił szczerze.

Ale anielskie lica Laury pokrywał coraz głębszy cień smutku.

— To już minęło, minęło — szeptała. — Chcesz się pewnie dowiedzieć, dlaczego cię wtedy opu-

ściłam? Przyczyna tego jest tajemnicą, której ci nigdy nie zdradzę.

— Lauro!

— Nie zdradzę! Nie. A teraz odejdz, Janie. Opuść mnie. Jeżeli zaś pewnego dnia usłyszysz, że ja — już przecierpiałam wszystko i że mnie wyniesiono, aby zwłoki me złożyć pod zieloną murawą, wtedy mój Janie, wtedy życzę ci, bądź bardzo, bardzo szczęśliwy u boku twojej — Wilmy.

Hrabia zerwał się na równe nogi.

— Przestań, Lauro, przestań! Nie mów więcej! Czy sądzisz, że ja mógłbym kiedykolwiek zapomnieć o tem, czem byłeś dla mnie, czem jesteś dla mnie? Czyż swego czasu nie oddałaś mi swego znacznego majątku, nie poświęciłaś go, aby mi tylko uratować życie i cześć?

— I przeto ty — z wdzięczności, nie z miłości ożeniłeś się ze mną...

Hrabia, jakby nie zważając na to, pochylił się i zamknął jej usta, długim, ognistym pocałunkiem.

— Lauro, jeszcze dzisiaj, jeszcze tej nocy do wie się mój ojciec o wszystkim, o wszystkim! Kiedy cię bez jego wiedzy i woli prowadził do ołtarza, byłem już pełnoletni, byłem oficerem i nie potrzebowałem jego zezwolenia — nasze małżeństwo jest więc wobec prawa ważne i jak tylko wyzdrowiejesz troszeczkę, zaprowadzę cię do zamku jako moją najdroższą żonę...

W tej chwili dały się słyszeć w przyległym pokoju jakieś szybkie kroki. Drzwi się otworzyły i do alkierza wszedł lekarz.

II.

Włóczęga.

W szynku „pod kogutkiem“, we wsi Trouville, siedziało koło godziny dziesiątej wieczór kilku gości. Na stole stały szklanki z winem, które usłużny gospodarz dość często zmieniał. Goście, wszyscy w bardzo dobrych humorach, zabawiali się wesołą pogawędką.

Naraz drzwi powoli się otworzyły i do szynkowni wszedł jakiś spóźniony gość.

Była to stara, uboga ubrana kobieta. Podpie-
rając się kijem, słabym krokiem szła powoli do stołu.

Gospodarz zastąpił jej drogę. Jedno spojrzenie na nieznajomą już mu wystarczyło. Wiedział, że nie będzie miał z niej zarobku.

— Czego chcecie? — zapytał opryskliwie.

— Przenocować tutaj — odpowiedziała cicho żebraczka. — Nie wymagam dużo — mówiła dalej, pokaszlując — garść słomy mi wystarczy, a może tutaj, na ławie, pod piecem.

Szynkarz poskrobał się za uchem. Nie miał najmniejszej ochoty spełnić nawet tak skromnej prośby.

— Skąd wy jesteście? Macie jakie papiery? Jeżeli się nie wylegitymujecie, to was absolutnie nie mogę przenocować.

Staruszka patrzyła zakłopotana na niego.

— No, pokażcie raz wasze papiery, bo jeżeli ich nie macie, to was w tej chwili wyrzucę.

Kobieta sięgnęła ręką do zanadrza, wyciągnęła jakiś biały świstek i w milczeniu drżącą ręką podała go szynkarzowi.

Ten podszedł do szynkfasu, nad którym wisiała duża lampa. Tam rozłożył papier i z uwagą począł go przeglądać.

— A więc przed ośmiu dniami wypuszczono was z kryminału, gdzieście odbyli piętnastoletnią karę za morderstwo — wykrzyknął głośno.

Zgromadzeni wieśniacy powstali od stołu, otoczyli ją kołem i z ciekawością patrzyli na biedną kobietę, która stała pośród nich, nie mówiąc ani słowa, jakby w myślach zatopiona.

— A zameldowaliście się tutaj u wójta? — pytał dalej szynkarz.

— Ja przecież dopiero tu przyszedłem...

— A więc jeszcze nie; w takim razie idźcie, skądście przyszli.

Roześmiał się pogardliwie.

— Ludzie, takiego, jak wy, pokroju, którzy przesiedzieli piętnaście lat w kryminale, należą do szlachetnego cechu włóczęgów, z którymi uczciwy gospodarz niema nic wspólnego.

Biedna kobieta stała, jakby wrosła w ziemię. Podniosła błagalny wzrok, w którym znać było cierpienie i znużenie, dla tego szczególnego przyjaciela ludzi.

— Może się znajdzie gdzie w stajni jaki kącik, gdziebym mogła wypocząć i wyprostować znużone członki. Gdzieś przy bydle, w sianie. Ja nie chcę za darmo...

— Na nic; szkoda gadania; włóczęgi, żebraczki, która się nie zameldowała w urzędzie gmin-